



Opiekunka

Chętnie zaopiekuje się nie tylko jego dzieckiem, ale też sercem

LUDKA SKRZYDLEWSKA

 **editored**

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra
Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!
Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres
<http://editio.pl/user/opinie/opieku>
Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-7166-8

Copyright © Helion SA 2021

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

Rozdział 1

Reese

— OKEJ. WIĘC WYTŁUMACZ MI, Reese, dlaczego właściwie wolisz całe lato kisić się w mieście i zaharowywać, zamiast wrócić do domu i spędzić trzy beztroskie miesiące na surfowaniu i podrywaniu chłopaków?

Della patrzy na mnie z niezadowoleniem, zapewne wynikłym z faktu, że moja decyzja oznacza dla niej brak możliwości towarzyszenia mi w tych jakże fascynujących letnich rozrywkach. Odrzucam włosy na plecy i śmieję się, równocześnie kopiąc ją lekko w nogę. Siedzimy na wysokich stołkach barowych, więc trafienie idealnie w łydkę przychodzi mi bez trudu.

— Nie zamierzam się zaharowywać — pry cham, bawiąc się podkładką do piwa, którą dostałam wraz z butelką. — To opieka nad dzieckiem, nie praca w kamieniołomach, Della.

— Przez trzy letnie miesiące — powtarza moja przyjaciółka z przerażeniem w głosie. — Całe wakacje będziesz się zajmować cudzym bachorem, zamiast spędzać czas na plaży w bardzo skąnym bikini?!

Krzywię się, odwracając od niej na chwilę wzrok, by rozejrzeć się po barze. To jedna z miejscówek bardzo lubianych wśród studentów z pobliskiego kampusu, zwłaszcza Niedźwiadków, które często świętują tu swoje zwycięstwa. Odkąd jednak skończył się semestr i przestały odbywać rozgrywki, większość ludzi porozjeżdżała się do domów, więc teraz przebywa tu zdecydowanie mniej osób. Tego wieczoru widzę kilka nowych twarzy; podejrzewam, że w związku z początkiem wakacji Los Angeles zaczyna odwiedzać coraz więcej turystów.

— Sophie i Garrett mają bardzo duży basen, z którego pozwalają mi korzystać — odpowiadam gładko, chociaż słowa „cudzy basen” budzą we mnie automatyczny sprzeciw. — Poza tym mogę mieszkać za darmo w ich domku gościnnym i jeszcze dostawać kasę za opiekę nad Josie. Tylko głupi nie zgodziłby się na taki układ.

Josie to siedmiolatka, którą poznałam niecały rok temu, zupełnym przypadkiem, podczas zakupów w jednym z centrów handlowych. Zgubiła się i płakała, wołając mamę, a ja pomogłam małej ją odnaleźć. Ostatni raz byłam opiekunką do dzieci w wieku jakichś szesnastu lat, ale — jak się wkrótce okazało — nie miało to żadnego znaczenia. Josie od razu mnie polubiła, a jej wiecznie zapracowana mama postanowiła mnie zatrudnić, chociaż nie miałam żadnych referencji. Oświadczyła, że jej doskonała, polecana przez wielu opiekunka zostawiła ich bez słowa tydzień wcześniej i od tej pory mają z mężem problem ze znalezieniem zastępstwa.

Trochę się obawiałam, że opieka nad cudzym dzieckiem wpędzi mnie w depresję, ale stało się wręcz odwrotnie. Josie i ja zaczęłyśmy się naprawdę świetnie dogadywać, więc Sophie chętnie przedłużyła ze mną współpracę, po czym zaproponowała, żebym na czas wakacji wprowadziła się do ich domku dla gości i zajęła się małą na stałe.

Byłabym idiotką, gdybym odmówiła.

— Nie widziałas rodziców od świąt — przypomina mi niepożrebnie Della, na co przewracam oczami. — Nie rób takiej miny. Wiesz, że mam rację! Dlaczego ich nie odwiedzisz, zamiast zajmować się czyimś dzieckiem?

Bo nie mam na to ochoty, Della. Nie chcę wracać do miasta, które tak źle mi się kojarzy.

Dwa lata temu przeniosłam się z Half Moon Bay do Los Angeles i nie oglądałam się za siebie. UCLA¹ stał się moim schronieniem i nowym domem, ale nawet Della, moja przyjaciółka i współlokatorka, nie wie, przed czym uciekałam. Wolę, żeby tak zostało. Nie potrzebuję ani zwierzeń, ani pełnych współczucia spojrzeń. Jestem

¹ University of California — Uniwersytet Kalifornijski w Los Angeles (przyp. red.).

pewna, że gdyby знаła prawdę, zachowywałaby się przy mnie nieco inaczej i mniej swobodnie.

A ja lubię ją taką, jaka jest.

Kiedy siedzimy razem w barze, zawsze przyciągamy spojrzenia mężczyzn, między innymi dlatego, że kompletnie nie jesteśmy do siebie podobne. Della to typ bladej piękności o długich, prostych, niemalże czarnych włosach i równie ciemnych oczach. Pochodzi z Portland i bardzo nie chce wracać tam na wakacje. Ja z kolei stanowię przykład typowej kalifornijskiej dziewczyny: zawsze jestem lekko opalona, mam wiecznie rozwichrzone, naturalnie układające się w fale jasnoblond włosy — które w dodatku potraktowałam dość ostro, robiąc sobie różowe pasemka — i niebieskie niczym Ocean Spokojny oczy. Należymy z Dellą do tych raczej smukłych dziewczyn, ale to ona nie musi robić absolutnie nic, by tak zostało.

Kocham ją jak siostrę, odkąd na pierwszym roku trafiłyśmy do jednego pokoju w akademiku. Szybko się stamtąd wyprowadziłyśmy i znalazłyśmy sobie własne lokum, które dzielimy z koleżanką Delli z roku. Già zdążyła już wyjechać na wakacje do domu, tylko Della jeszcze się ociąga; wiem, że najchętniej zostałaby w mieście, ale do końca miesiąca musimy zwolnić mieszkanie.

— Rodzice wiedzą, że chcę sobie dorobić. — Nie dodaję, że nie są zadowoleni z tego faktu. Stać ich, żeby zapłacić mi tyle samo, co Sophie i Garrett, jedynie po to, bym nie zostawała na wakacje w Los Angeles. Nigdy jednak mi tego nie zaproponowali, doskonale wiedząc, że tak naprawdę wcale nie chodzi o pieniądze. — Poza tym przecież odwiedzę ich raz albo dwa.

Odczuwam niewielkie wyrzuty sumienia, gdy myślę o rodzicach. Jestem ich jedynym dzieckiem i na pewno chętnie zobaczyliby mnie w domu. Silniejsza od wyrzutów sumienia jest jednak niechęć wobec powrotu do Half Moon Bay.

Spędziłam tam ostatnie wakacje. Były koszmarnie.

— Mam nadzieję, że podstarzały tatusiek nie spróbuje cię molestować nad tym basenem — mamrocze Della, po czym upija łyk piwa.

Znowu parskam śmiechem.

— Garrett? Po pierwsze, ma tylko czterdzieści lat, nie nazwałabym go podstarzałym. — Sądząc po protekcyjnym spojrzeniu

Delli, mamy odmienne zdania na ten temat. Może wynika to z faktu, że jestem późnym dzieckiem, więc mam trochę inne podejście do różnicy wieku. Mój ojciec ma już sześćdziesiątkę, a mama pięćdziesiąt siedem lat. W porównaniu z nimi czterdziestoletni Garrett to niemalże młodzieniaszek. — A po drugie, to naprawdę poczciwy człowiek. Nigdy w życiu by mnie nie skrzywdził. Obydwoje z Sophie są wspaniali.

— To gdzie są teraz ci wspaniali ludzie? — Della się krzywi. Wiem, że chce mi dopiec, lecz wszystkie jej narzekania spływają po mnie jak woda po kaczce. — Jak to jest, że masz wolny wieczór, zamiast opiekować się tym dzieciakiem?

— Ten dzieciak ma na imię Josephine — przypominam jej niepostrzebnie, bo za chwilę i tak znowu zapomni. — Josie i jej rodzice pojechali dzisiaj na wycieczkę na wyspę Catalina. Korzystają z weekendu, dzięki czemu ja też mogę trochę się rozerwać. Wrócą dopiero jutro rano, więc mam wychodne.

Uśmiecham się promiennie do Delli, która kręci głową z niesmakiem. Chyba nie rozumie mojego entuzjazmu.

Naprawdę lubię opiekować się Josie. To słodka dziewczynka i zawsze świetnie się z nią bawię. Należy do dzieci, które nie są zbyt otwarte i nie tak łatwo obdarzają innych zaufaniem, a mimo to obie szybko znalazłyśmy wspólny język. Czasami widocznie tak bywa, a ja potrafię to docenić. To dużo lepsza praca niż obsługiwanie klientów w jakiejś knajpie.

Czas spędzony z Josie to właściwie zabawa, nie praca.

— Jak to dobrze dla mnie — odpowiada Della z krzywym uśmiechem. — Gdyby Spencerowie nie wyjechali, pewnie znowu nie miałabyś czasu, żeby się spotkać.

— Wiesz, jak jest. — Wzruszam ramionami. — Sophie ciągle jest znaną aktorką. Okej, teraz gra głównie w serialach na miejscu, ale poza kręceniem zostają jeszcze te wszystkie bankiety, premiery, festiwale filmowe i tego typu sprawy. To część jej pracy. Gdyby nie to, nie potrzebowaliby tak często opiekunki, prawda?

— Oczywiście, że by potrzebowali — prychna moja przyjaciółka. — Mają kasy jak lodu, a dziani ludzie zawsze znajdują sobie kogoś, kto będzie za nich zajmował się ich dzieckiem. To nic nowego.

Kręcę z powątpiewaniem głową. Rozumiem punkt widzenia Delli, ale ona nie zna Spencerów. Nie rozumie, że Sophie i Garrett tacy nie są. Naprawdę kochają swoją córkę i jest im przykro, że spędzają z nią tak mało czasu. Sophie myśli nawet o zakończeniu kariery aktorskiej, żeby poświęcać dziecku więcej uwagi. Wiem też — chociaż nigdy nie powiedzieli mi tego wprost — że zastanawiają się nad drugim. Sophie ma dopiero trzydzieści dwa lata, a Garrett, mimo że kocha Josie jak własną córkę, na pewno chciałby mieć biologiczne dziecko.

Trzymam za nich kciuki i mam nadzieję, że wszystko im się uda.

— Możemy już nie rozmawiać o Spencerach? — Jestem do nich przywiązana, ale mam wrażenie, że moje życie kręci się ostatnio tylko wokół nich. — Opowiedz mi lepiej, co będziesz robić podczas wakacji w Portland.

— Rany, chyba chcesz mnie zdołować. — Della wzdycha. — Pewnie będę się nudzić i płakać w poduszkę. Możesz mnie zaprosić do tego domku gościnnego? Choćby na tydzień?

— Myślę, że tak, ale jeszcze zapytam Sophie. — Uśmiecham się. — Daj spokój, na pewno nie będzie tak źle. Miło będzie zobaczyć rodziców, prawda? I znajomych ze szkoły.

— Nie mam w Portland znajomych ze szkoły — mamrocze w odpowiedzi Della. — Wszyscy albo się porozjeżdżali, albo są palantami. Wiem, że to beznadziejne, ale moje życie kręci się teraz wokół was. Wokół UCLA.

— To wcale nie jest beznadziejne. — Sięgam po jej dłoń i ściskam ją mocno. Spoglądam ciepło na przyjaciółkę, a ona odpowiada mi uśmiechem. — To naprawdę słodkie. I bardzo się cieszę, że jestem dla ciebie ważna. Może poproszę Sophie o dzień wolnego i wpadnę odwiedzić cię w Portland, co? Mogłabyś pokazać mi jakieś fajne miejsca.

Della kiwa głową; widzę, że perspektywa mojej wizyty trochę polepsza jej humor. Zanim jednak zdąży coś odpowiedzieć, miejsce przy barze po mojej drugiej stronie zostaje zajęte.

— Co pijecie, dziewczyny? — Krzywię się, słysząc głos jakiegoś nie do końca trzeźwego faceta. Przyglądam mu się niechętnie: nieco starszy od nas, przystojny, dobrze zbudowany blondyn wygląda na

jednego z mężczyzn, od których staram się trzymać z daleka. — Piwo? Pozwólcie, że postawię wam następną kolejkę.

— Nie, dzięki — mamrocze. — Stać nas jeszcze na piwo.

— Hej, nie bądź taka. — Śmieje się i sięga do mnie, zapewne żeby objąć ramieniem; uchylam się w ostatniej chwili i o mało nie spadam ze stołka. — Zgrywasz niedostępną czy jak?

— Odwal się, koleś.

Della marszczy brwi, zapewne zastanawiając się, czy powinna już interweniować. Może i nie zna mojej przeszłości, ale wie, jaki mam stosunek do facetów. Nie żebym miała jakąś traumę; jestem po prostu ostrożna.

Nigdy nie nazywam tego inaczej.

— Może ty przekonasz koleżankę, żeby była bardziej towarzyska? — Blondyn opiera łokcie na barze i przechyla się w naszą stronę, spoglądając na Delle. A raczej prosto w jej dekolt. — Gracie w dobrego i złego gline? Jesteście w pakiecie, dziewczyny?

— Spadaj stąd — odpowiada Della, nawet nie siląc się na uprzejmy ton. — Nie widzisz, że rozmawiamy? Przeszkadzasz nam.

— No weźcie. Możemy sobie wzajemnie poprzeskadzać, nie?

Kiedy czuję jego dłoń na ramieniu, reaguję błyskawicznie. Odwracam się, zahaczam stopą o jedną z nóg stołka barowego, po czym szarpię mocno i gwałtownie. Facet traci równowagę, aż z wrzaskiem i przekleństwem ląduje na podłodze.

Della śmieje się, zasłaniając usta dłonią, ale ja nie jestem rozbawiona. Patrzę na podnoszącego się powoli mężczyznę ze złością, która wciąż buzuje w moich żyłach. On odpowiada mi podobnym, choć nieco mniej trzeźwym spojrzeniem.

— Co, do kurwy? — klnie znowu. — Więc jesteś nie tylko nietowarzyska, ale też niedotykalska? Szkoda dla takiej pizdy tej ładnej buźki!

— Lepiej martw się o swoją — odpieram spokojnie. — Bo za chwilę może przestać być taka ładna.

Gość chce coś odpowiedzieć, na szczęście zjawiają się jego kumple; pomagają mu wstać i przepraszają nas z zażenowaniem malującym się na twarzach. Dopijam piwo i wygrzebuję z kieszeni spodni banknot, który kładę na barze.

— Idziemy stąd? — pytam, na co Della ochoczo kiwa głową. — Możemy poszukać jakiejś imprezy.

Zbieramy się i wychodzimy z lokalu. Na zewnątrz moja przyjaciółka głośno komentuje zachowanie blondyna. Jest oburzona i bawi ją to, jak go potraktowałam. Nie reaguję, bo ciągle próbuję się uspokoić. Właśnie taka jest między nami różnica. Dla niej to tylko urozmaicenie i ciekawa anegdotka do opowiedzenia Gii. Dla mnie to wydarzenie, które potrafi zepsuć cały wieczór.

Bezmyślnie kieruję się w dół zatłoczonym Sunset Boulevard; Della podąża za mną, żując gumę i sprawdzając coś na telefonie — zapewne najlepsze imprezy na ten wieczór. Gdy słyszę dzwonek mojej komórki — początkowe tony piosenki Calvina Harrisa i Rage'n'Bone Mana — wręcz cieszę się, że mogę odebrać, zwłaszcza że to Sophie.

— Hej, co tam słyhać? Jak wycieczka? — pytam, próbując wyrzucić z pamięci faceta z baru i jego słowa: *Jesteś nietowarzyska i niedotykaliska*. Bicie dzwonów pobliskiego kościoła oznacza, że właśnie minęła dziewiąta. — Mam nadzieję, że Josie się podoba.

— Masakra, Reese — jęczy Sophie do słuchawki. — Josie wymiotuje dalej, niż widzi. Wszyscy się czymś zatruliśmy i pochorowaliśmy. Garrett jakoś daje radę jechać do domu, ale też bardzo źle się czuje. Wiem, że to twój wolny wieczór, ale czy mogłabyś przyjechać i pomóc nam z Josie?

Natychmiast włącza mi się instynkt, który każe zająć się dziewczynką i pomóc jej rodzicom. W ciągu ostatniego roku świetnie go sobie wyrobiłam.

— Jasne — odpowiadam bez wahania. — Jak złapię ubera, mogę być w ciągu pół godziny.

— Wspaniale — odpowiada Sophie łamiącym się głosem. — My właśnie dojeżdżamy. Zwrócę ci za taksówkę i bardzo cię przepraszam, Reese. Jakoś ci to wynagrodzę, obiecuję!

— Nic się nie stało, Soph. — Spoglądam na oburzoną Dellę i dochodzę do wniosku, że może jednak się stało. To jej ostatni weekend w Los Angeles i chciała go spędzić ze mną. — Zdarza się, nie przejmuj się tym.

Po zakończeniu rozmowy patrzę przepaszająco na przyjaciółkę. Ta wzdycha i macha w moim kierunku dłonią, w której trzyma telefon.

— Rozumiem, że mam iść sama do klubu?

— Bardzo cię przepraszam — mówię, po czym uruchamiam aplikację, by wezwać ubera. — Sytuacja podbramkowa. Zdzwonimy się? Kiedy masz samolot? Może uda nam się jeszcze zobaczyć przed twoim wylotem? Mogę odwieźć cię na lotnisko.

Della przez chwilę wygląda, jakby biła się z myślami, ale w końcu uśmiecha się i wyciąga ramiona, żeby mnie przytulić. Ściskam ją, na moment chowając nos w jej miękkich, pachnących perfumami włosach.

— Spoko, nic się nie stało. — Cieszę się, że mam taką wyrozumiałą przyjaciółkę. — Możemy się umówić na niedzielę, jeśli twoja nowa rodzinka cię puści.

Jest złośliwa, ale to akurat typowe dla Delli. To jeden z powodów, dla których tak się polubiłyśmy.

Już po chwili wsiadam do ubera; macham przyjaciółce przez okno, na co odpowiada, przesyłając mi pocałunek. Kiedy kierowca rusza z miejsca, z westchnieniem opieram głowę o zagłówek fotela. W zasadzie cieszę się, że mogę wracać. Incydent w barze sprawił, że przez resztę wieczoru pewnie i tak nie bawiłabym się dobrze.

Nad Los Angeles zapada zmierzch. Do Calle Vista Drive mam raptem nieco ponad pięć mil, ale przy wieczornym ruchu i korkach czas potrzebny na przebycie tej trasy znacznie się wydłuża. Sunset Boulevard jest załadowany samochodami, gdy kierowca priusa, którym jadę, wbija się na pas. Klimatyzacja w aucie działa sprawnie, dzięki czemu mogę trochę ochłonąć. Mimo późnej godziny na zewnątrz utrzymuje się wysoka temperatura.

W myślach dokonuję przeglądu tego, co powinnam zrobić, gdy już dojadę na miejsce. Bezmyślnie przyglądam się kolorowym neonom i billboardom, których wzdłuż ulicy jest mnóstwo; oślepia mnie światło latarni, więc po chwili odwracam wzrok. Jeśli Josie tylko wymiotuje, zapewne w zupełności wystarczą elektrolity, a te powinny być w domu. Jeżeli jednak ma gorączkę, przydałby się też jakiś środek na jej zbitcie, najlepiej pewnie w czopku.

W końcu dochodzę do wniosku, że Spencerowie wytrzymają beze mnie dziesięć minut dłużej, i proszę kierowcę o postój po drodze. W okolicznej aptece dokupuję ibuprofen i elektrolity. Staram się zachować spokój, ale prawda jest taka, że boję się o Josie. Zawsze się o nią martwię i być może Della słusznie zauważyła, że to nie jest do końca zdrowe. Pewnie miała rację, dając mi do zrozumienia, że porzucam moją prawdziwą rodzinę dla ludzi, którzy nią nie są.

Ale Sophie i Garrett nie wiedzą o mnie tego, co wiedzą rodzice. Nie patrzą na mnie w taki sposób, jakbym w każdej chwili mogła się załamać. Nie chodzą wokół mnie na palcach, chociaż minęły dwa lata. Przy nich czuję się normalnie.

Dom Spencerów przy Calle Vista Drive to jedna z tych typowo kalifornijskich piętrowych hacjend — ogromnych, utrzymanych w ciepłych kolorach, z czerwoną dachówką, dużą liczbą lukowych przejść i mnóstwem roślinności. W okolicy rosną palmy i krzewy ozdobne, ogrodzenie jest obrośnięte bluszczem, a pobocza zarastają drzewami. Całe wzgórze znajduje się z dala od reszty miasta, dzięki czemu mieszkańcy poszczególnych domów mogą liczyć na sporo prywatności. Domek dla gości, w którym zatrzymałam się na czas wakacji, jest utrzymany w tym samym stylu co główny budynek i znajduje się za nim, nad samym basenem. To naprawdę przyjemne miejsce.

Kierowca zatrzymuje się przy krawężniku, więc zabieram swoje rzeczy i już po chwili omijam auto Garretta, idąc w stronę domu. Marszczę brwi, widząc, że wygląda jak bożonarodzeniowa choinka. Przez okna wychodzące na podjazd przesącza się światło z salonu, przedpokoju i jadalni, świecą się również lampy na piętrze.

Wchodzę na werandę i zauważam włączoną fotokomórkę nad głównym wejściem. Czy rzeczywiście ze Spencerami jest aż tak źle, że musieli rozświetlić cały budynek, a potem zapomnieli wyłączyć światła? Może jednak powinnam się była bardziej pośpieszyć.

Drzwi wejściowe są otwarte, więc wchodzę do środka i wykrzykuję imię Sophie. Odpowiada mi dźwięcząca w uszach cisza. Zerkam na wyłączony alarm i cofam się o krok, zanim zdążę się przekonać, że przecież nic takiego się nie dzieje. Wzdłuż mojego kręgosłupa przebiega dreszcz, chociaż sama nie wiem dlaczego.

Na kursach samoobrony uczyli mnie zawsze, żeby ufać swojej intuicji. Kobiety — zwłaszcza te, które uważnie obserwują otoczenie — często podświadomie wiedzą, kiedy coś jest nie tak. Czasami można uniknąć ataku, nie wybierając tej samej pustej trasy co zwykle, jeśli coś nam podpowiada, że tym razem nie będzie ona bezpieczna.

Właśnie takie mam wrażenie, gdy wchodzę do domu Spencerów. Nie mogę się wycofać, bo to byłoby z mojej strony zwyczajnie irracjonalne, ale czuję, że coś jest nie tak. Zmuszam się do stawiania kolejnych kroków, zmierzając do jasno oświetlonego salonu, który okazuje się zupełnie pusty.

— Sophie? Garrett?! — krzyczę znowu. — Josie? Gdzie jesteście?!

Ruszam do kolejnych stylowych, urządzonych ze smakiem pomieszczeń, jednak te również są puste. Tylko torby rzucone w przedpokoju świadczą o tym, że ktoś rzeczywiście wrócił z wycieczki. Obchodzę cały parter, ale nikogo nie dostrzegam i nikt nie odpowiada na moje wołania. Pewnie są na górze, w sypialni, próbuję przekonać samą siebie, co nie sprawia, że przestaję się denerwować.

Przeskakuję po dwa stopnie naraz i już po chwili jestem w korytarzu na piętrze. Tutaj dla odmiany jest prawie całkiem ciemno, nie świeci się ani jedna żarówka. Mimo to w półmroku dostrzegam na podłodze jakiś kształt.

Kształt przerażająco podobny do ludzkiego ciała.

Podbiegam bliżej i na moment tracę kontakt z rzeczywistością, gdy rozpoznaję Sophie. Świecę sobie latarką w komórce, którą z trudem włączyłam drżącymi palcami, ale nawet nie muszę sprawdzać pulsu. Szkliste oczy wpatrują się niewidzącym wzrokiem w sufit, a plama krwi wokół głowy kobiety stopniowo staje się coraz większa, przypominając rubinową aureolę. To musiało stać się niedawno, przemyka mi przez głowę. Podrywam się na równe nogi i gryzę w język, gdy mam ochotę ponownie krzyknąć, tym razem imię Garretta.

Sophie nie żyje, myślę półprzytomnie, jednak nie potrafię w pełni tego pojąć, bo adrenalina krąży w moich żyłach, zmuszając mnie do działania. Nie wiem, kto to zrobił. Nie mam też pojęcia, czy napastnik nadal jest w domu. Wchodząc do budynku, narobiłam wystarczająco dużo rabanu, by usłyszał mnie nawet głuchy emeryt.

Wybieram numer alarmowy i ruszam przed siebie, z żalem zostawiając ciało Sophie na podłodze.

Są tu jeszcze inne osoby, o które się martwię.

— Dziewięćset jedenaście, w czym mogę pomóc? — Słyszę w słuchawce łagodny głos, który sprawia, że nieco się uspokajam. Tylko dlatego udaje mi się cicho wykrztusić:

— Nazywam się Reese Anderson i jestem na Calle Vista Drive 1151. Ktoś włamał się do domu Sophie i Garretta Spencerów, dla których pracuję. Sophie nie żyje.

— Proszę się nie rozłączać, wysyłam na podany adres jednostkę policji i karetkę pogotowia — mówi kobieta po drugiej stronie słuchawki. — Mam na imię Muriel i zostanę z panią, aż pomoc znajdzie się na miejscu. Czy jest pani bezpieczna?

— Nie wiem, czy ktoś jeszcze jest w domu — odpowiadam, starając się wyrażać rzeczowo. — Nie sprawdziłam całego. Muszę znaleźć Garretta i Josie.

— Proszę zamknąć się w bezpiecznym miejscu — protestuje dyspozytorka. — Policja jest już w drodze.

Przez zaciśnięte gardło nie jestem w stanie odpowiedzieć. Nie mogę uciekać, gdy nie wiem, co się dzieje z resztą rodziny. Z duszą na ramieniu zaglądam do pokoju dziecięcego, który jednak wydaje się pusty. Cała się trzęsę i szczękam zębami, ale idę dalej, sprawdzając kolejne pomieszczenia. W końcu trafiam do sypialni Sophie i Garretta, gdzie na podłodze widzę kolejne zakrwawione ciało.

Jęczę, włączam tryb głośnomówiący, po czym klękam przy Garretcie i kładę obok niego komórkę. Nie wyczuwam pulsu, więc zbliżam się do twarzy mężczyzny, żeby sprawdzić, czy oddycha. Nic z tego. Dopiero po chwili zauważam dwie dziury po kulach w jego klatce piersiowej. Z ust wrywa mi się szloch.

— Co się dzieje, panno Anderson? — dopytuje Muriel. Unoszę do twarzy drżące ręce i wtedy orientuję się, że ubrudziłam je krwią. Widzę odciski na panelach w miejscu, gdzie oparłam dłonie, pochylając się nad Garrettem. Robi mi się niedobrze.

— Garrett Spencer nie żyje — jęczę. — Oboje nie żyją.

— Proszę zostać tam, gdzie pani jest. Policja niedługo znajdzie się na miejscu.

Gdy w sypialni na moment zapada cisza, słyszę coś dziwnego. Jakby stłumiony pisk, płacz albo coś podobnego. Spanikowana rozglądam się dookoła, ale nigdzie nikogo nie widzę. Jestem sama w tym wielkim domu z dwojgiem martwych ludzi i być może mordercą.

A jeszcze czterdzieści minut temu rozmawiałam z Sophie przez telefon...

Dziwny dźwięk się powtarza i tym razem słyszę, że dobiega od strony łóżka. Pozostając na kolanach, ruszam w tamtą stronę, uważnie przyglądając się meblowi. Małżeńskie łóżko Sophie i Garretta jest specyficzne: pod materacem znajdują się duże przesuwne szuflady, do których można schować pościel, czego Spencerowie nigdy nie robią. Nie są one jednak do końca zabudowane, mają coś w rodzaju kratki wentylacyjnych, pewnie po to, żeby wpadała tam choć odrobina powietrza. Dzięki temu jest to również świetna kryjówka dla kogoś, kto chciałby się schować, a przy okazji nie udusić.

Wycieram zakrwawione dłonie o dżinsy i — słysząc syrenę nadjeżdżającego radiowozu — odsuwam pierwszą szufladę. Ze środka wpatrują się we mnie śmiertelnie przerażone, szeroko otwarte oczy w kolorze whiskey.

Nie mogę przestać płakać, gdy wyciągam Josie i biorę ją w ramiona, chociaż jest dla mnie za ciężka. Przyciskam jej głowę do mojej klatki piersiowej, nie pozwalając jej nawet zerknąć na ciało ojca, ale wiem, że już na to za późno. Przez dziury w szufladach nie tylko lepiej się oddycha, ale też z pewnością wszystko się widzi.

Cokolwiek się stało w sypialni Sophie i Garretta, Josie była tego świadkiem.

Rozdział 2

Owen

— CO TU SIĘ WŁAŚCIWIE DZIEJE?! Zaraz wypierdolę kogoś z tej roboty!

Ludzie rozpraszają się w panice, kiedy tylko słyszą mój głos. Nie wiem, czy mam się cieszyć, gdy widzę, że trochę się mnie obawiają. Przyzwyczaiałem się już, że właśnie tak działam na swoich pracowników.

Wendy, moja architektka, przygląda mi się z naganą, kiedy robotnicy pospiesznie wracają do swoich obowiązków. Skoro ona tu jest — w tej cholernej krótkiej sukience i szpilkach, które absolutnie nie nadają się na budowę — wiem, że przed chwilą moi podwładni próbowali jej się przypodobać, zamiast wykonywać swoją pracę. Wkładam ręce do kieszeni garniturowych spodni i podchodzę do niej, robiąc groźną minę. Wendy odrzuca na plecy włosy w orzechowym kolorze i przekrzywia głowę, przyglądając mi się prowokująco.

— Musisz zachowywać się jak jaskiniowiec? — pyta, kiedy zatrzymuję się tuż obok. — Po prostu rozmawialiśmy.

— Możesz rozmawiać i flirtować, z kim tylko chcesz — odpowiadam, bo doskonale wiem, na czym polega ta gra. — Ale nie rób tego na mojej budowie ani w godzinach pracy. Czy to jasne?

— Czyżbyś był zazdrosny?

Patrzę na nią z irytacją, której nie potrafię ukryć. Mam trzydzieści pięć lat, a wciąż popełniam te same błędy. Gdybym czasami po prostu utrzymał fiuta w spodniach, nie musiałbym się teraz użerać z architektką, która zamiast pracować, próbuje sprawić, żebym był o nią zazdrosny. Przecież spędziliśmy ze sobą raptem jedną noc!

— Proszę cię tylko, żebyś w godzinach pracy zajmowała się pracą. Czy to za wiele? — Unoszę brew, lustrując ją wzrokiem. — Mogłabyś też ubierać się nieco inaczej na budowę. Co będzie, jak złamiesz tu nogę? Pozwiesz mnie?

Wendy się śmieje, ale widzę, że jest niezadowolona. Waham się, nie wiedząc, co z tym zrobić. To naprawdę dobra architektka i nie chcę jej stracić przez to, że parę nocy temu za dużo wypilem i przeleciałem ją na tylnym siedzeniu mojego samochodu. Z drugiej strony, jeśli dam jej do zrozumienia, że chodzi o coś więcej, może się nie odczepić.

Myślałem, że nauczyłem się już, by nie brać do łóżka nikogo, z kim łączą mnie stosunki służbowe, ale najwidoczniej ciągle muszę to sobie tłuc do głowy. Na swoje usprawiedliwienie mam jednak to, że Wendy wydawała się jedną z tych dziewczyn, którym układ z seksem po pracy całkowicie wystarcza.

— Jeśli ubiorę się inaczej, to zaprosisz mnie na kolację? — pyta, co sprawia, że robię się jeszcze bardziej zirytowany.

— Czy przysłaś tu, bo czegoś potrzebujesz, czy po prostu się nudzisz? — warczę. — Może powinienem porozmawiać z twoim przełożonym? Z pewnością znalazłby w waszym biurze kogoś innego, kto mógłby dokończyć ten projekt, gdyby się dowiedział, że przestały nas łączyć tylko relacje służbowe.

Wiem, że jestem dupkiem. Nie potrafię zniechęcić tej kobiety w inny sposób, więc odwołuję się do jej ambicji, co najwyraźniej odnosi pożądany skutek, bo Wendy lekko blednie, a uśmiech spływa z jej ładnej twarzy.

— Zamierzasz mnie szantażować? Nie przypominam sobie, żebyś narzekał, kiedy przedwczoraj robiłam ci loda.

Rzeczywiście nie narzekałem, bo naprawdę zna się na rzeczy. Wzdycham i przeczesuję włosy palcami. Może po prostu źle się do tego zabrałem, więc postanawiam postawić sprawy jasno.

— Nie chcę cię szantażować, Wendy — protestuję. — Posłuchaj, jesteś naprawdę świetną architektką i cenię sobie naszą współpracę. Ale poza tym... Trochę się zabawiliśmy, było fajnie i na tym poprzestańmy.

Na szczęście główny hol we właśnie wykańczanym hotelu jest całkiem pusty, bo inaczej ktoś mógłby mieć niezły ubaw, słuchając mnie. Nasze głosy odbijają się echem od ścian i dochodzą do wniosku, że może to jednak nie najlepsze miejsce na taką rozmowę. Ale tylna ściana wychodzi prosto na obszerny zielony teren kończący się plażą i oceanem, więc nawet jeśli ta wymiana zdań jest nieprzyjemna, mogę przynajmniej podziwiać piękne widoki.

— Czyli nie chcesz, żeby jeszcze raz było nam fajnie? — Wendy przygryza wargę. Ma ciemnoczerwone usta i mimo woli przypominam sobie, jak obejmowały mój sprzęt. Czuję, że nagle robi mi się trochę niewygodnie w spodniach, ale postanawiam być twardy.

Cholera.

Może nie dosłownie.

— Nie, nie chcę — potwierdzam, chociaż wcale nie jestem tego taki pewien. Przynajmniej moje ciało ma na ten temat inne zdanie. — Pozostańmy przy kontaktach służbowych, dobrze? Mamy jeszcze...

— Czterdzieści dwa dni do zakończenia projektu — wchodzi mi w słowo. — Dobra. Poczekam tyle, a potem zaciągnę cię do łóżka. Skoro tak bardzo nie chcesz łączyć życia zawodowego z prywatnym.

Otwieram usta, żeby coś odpowiedzieć, ale ona obraca się na pięcie i odchodzi. Mam wrażenie, że nie uzyskałem tą rozmową tego, co zamierzałem, ale czuję niewielką ulgę na myśl, że przynajmniej przez najbliższe czterdzieści dwa dni będę miał święty spokój. Potem jakoś sobie poradzę z Wendy O'Brien.

Najważniejsze, aby skończono dekorowanie hotelu. Później mogę ją nawet jeszcze raz przelecieć.

Gdy zostaję sam, postanawiam zrobić obchód po moich nowych włościach, żeby się trochę uspokoić i ochłonać. Właściwie po to przyjechałem i tylko to miałem w głowie, dopóki nie zobaczyłem, że robotnicy zrobili sobie przerwę w pracy, na którą z pewnością nie wyraziłem zgody. Gdyby ojciec żył, miałby ze mnie niezły ubaw, widząc, jak przejmuję się rodzinnym biznesem. Na szczęście ten stary skurwysyn od dawna leży w grobie.

Przez drzwi w przeszklonej ścianie holu wychodzę na obszerny taras, gdzie na razie jest dosyć pusto. Nie chce mi się wierzyć, że

wystarczą czterdzieści dwa dni, by przekształcić to miejsce w raj na ziemi. W planach mamy tutaj restaurację na patio, a dalej trzy baseny otoczone bujną roślinnością, egzotyczny ogród z palmami i sztuczne jezioro. Cały ten teren schodzi do plaży o przeraźliwie białym, czystym piasku, który obmywają granatowe wody Pacyfiku. Na razie jednak zamiast basenów w ziemi zieją dziury, przy których uwijają się robotnicy, ogród też jest dopiero w fazie tworzenia.

Za to kiedy się odwracam, mogę stwierdzić, że fasada hotelu już teraz prezentuje się dosyć imponująco. W pięciokondygnacyjnym, o białej elewacji i niebieskim dachu głównym budynku poza pokojami oraz apartamentami dla gości znajduje się również strefa spa, siłownia, kryty basen i wiele innych atrakcji. Kiedy już skończą go remontować i dodadzą odpowiednio nastrojowe oświetlenie, będzie wyglądał pięknie, zwłaszcza nocą.

Hotel na Hawajach był jeszcze marzeniem ojca. Pewnie dlatego tak długo zwlekałem z realizacją tego projektu — żeby zrobić mu na złość nawet po jego śmierci. W końcu jednak doszedłem do wniosku, że nie ma sensu dłużej czekać, i miałem rację. Piękna okolica na pewno przyciągnie mnóstwo gości.

Słyszę wibracje komórki, więc wyciągam ją, by stwierdzić, że dzwoni moja asystentka, Keira. Krzywię się mimowolnie. Od dwóch dni próbuje się do mnie dodzwonić i od dwóch dni uparcie ją ignoruję, w czym pomógł mi numerek z Wendy w samochodzie oraz wczorajsza noc z jakąś miejscową dziewczyną. Wiem, czego chce moja asystentka, i nie mam ochoty o tym myśleć. Gdybym był psychologiem, uznałbym pewnie, że to właśnie dlatego szukam zapomnienia w ramionach przypadkowych kobiet, ale na szczęście nim nie jestem. Nie potrzebuję żadnego cholernego terapeuty.

Nie chcę też się zastanawiać, co Keira powinna kupić Josephine w prezencie urodzinowym.

Po prostu coś jej wybierz i zapłać służbową kartą, myślę, wpatrując się z irytacją w telefon. Masz na to jeszcze mnóstwo czasu. Nie zamierzam z nią rozmawiać, mając irracjonalną nadzieję, że moja genialna asystentka odbierze sygnał telepatyczny. W ogóle nie mam zamiaru myśleć o Josephine ani o tym, co powinna dostać ode mnie na siódme urodziny.

Tak jak mówiłem, jestem dupkiem.

Chowam komórkę do kieszeni spodni i ruszam przez kolejne części hotelu, wypatrując czerwonej sukienki. Może powtórka sprzed dwóch nocy nie jest takim złym rozwiązaniem? Jeśli tylko odciągnie mnie to od myślenia o moich gównianych problemach, to pewnie warto. Muszę jedynie dać Wendy do zrozumienia, że nie ma co liczyć na więcej.

Znajduję ją w końcu przy jednym z bocznych wejść, gdzie wyklóca się o coś z kierownikiem budowy; na mój widok oboje milkną. Obrzucam Wendy szorstkim spojrzeniem i widzę, jak się pod nim rumieni.

— Mogę cię prosić na chwilkę? — pytam, chociaż tak naprawdę to wcale nie jest pytanie. Kobieta kiwa głową, przeprasza kierownika i posłusznie idzie za mną do wnętrza hotelu.

Chwytam ją za ramię, prowadzę do jednego z bocznych korytarzy, po czym bez namysłu całuję, od razu głęboko i zachłannie, bo Wendy chętnie rozchyła dla mnie usta. Kiedy wplata palce w moje włosy, przyciągając mnie do siebie bliżej, napieram na nią, aż biodrami przyszpilam ją do ściany, pod którą stoimy. Jęki, które wydaje, sprawiają, że twardnieję jeszcze bardziej.

— Co się stało, Owen? — pyta lekko zdyszana, gdy w końcu się od niej odsuwam. — Jeszcze chwilę temu mówiłeś, że nie ma mowy.

— Zmieniłem zdanie. — Unoszę brew. — Zamierzasz tak stać i się gapić czy jednak chcesz skorzystać?

Oczywiście, że chce skorzystać, widzę to w jej oczach. Wendy oblizuje się, zmazując odrobinę czerwonej szminki, po czym ponownie mnie całuje. Jej zwinne ręce wędrują pod moją marynarkę, a następnie koszulę, którą wyciągają ze spodni. Dotykają nagiej klatki piersiowej, aż spinam się z zadowolenia i głęboko wzdycham.

Gdy Wendy rozpina pasek moich spodni i wsuwa dłoń w bokserki, słyszę dzwonek telefonu. Tym razem jej. Patrę na nią surowo i kręcę głową, kiedy przygryza wargę, wyraźnie się wahając. W końcu jednak przyzwyczajenia dobrego pracownika biorą w niej górę. Wolną ręką wyjmuje komórkę, jednak drugą nadal trzyma w moich spodniach. Po chwili mocno obejmuje moją męskość, równocześnie rzucając do słuchawki:

— Wendy O'Brien, słucham.

Przez jakiś czas słucha, co ma do powiedzenia osoba po drugiej stronie słuchawki, i przytakuje, niespiesznie pieszcząc mój członek. Nagle odpowiada:

— Tak, jest tutaj. Jasne, mogę go poprosić. — Odsuwa telefon od ucha i mówi do mnie bezgłośnie, że to Keira. Och, po prostu świetnie. Teraz zaczęła dzwonić do mojej architektki, bo ze mną nie może się skontaktować?! Wendy tymczasem zasłania głośnik i dodaje: — Odbierz ten cholerny telefon. Twoja asystentka mówi, że to ważne.

Jasne, urodziny są ważne. Ale czy aż tak, żeby Keira szukała mnie przez obcych ludzi?

Krzywię się i niechętnie przejmuję komórkę. Wprost nie wierzę, że jestem na Hawajach i zamiast odpoczywać na plaży, chowam się po ciemnych hotelowych kątach. Gdy Wendy puszcza aparat, natychmiast klęka przede mną i zaczyna rozpinać mi spodnie, chociaż zamierzam przecież rozmawiać.

— Owen, słucham — rzucam do słuchawki, starając się mówić możliwie szorstko i stanowczo. Mam z tym pewien problem, kiedy czuję, jak Wendy obejmuje mój członek swoimi czerwonymi wargami.

O Jezu.

— Dzwonię do ciebie od dwóch dni! — Keira jest wyraźnie wyprowadzona z równowagi. — Dlaczego nie odbierasz telefonu?! Któregokolwiek!

— Po co? — dziwię się. — Przecież mówiłem, żebyś kupiła Josephine, co uważasz za stosowne. Co innego może być takie ważne... — syczę, bo Wendy zaczyna ssać, i dodaję z trudem — ...żeby zwracać mi głowę, gdy jestem na Hawajach? Prosiłem, by nikt mi nie przeszkadzał.

Wendy pracuje cierpliwie, biorąc mój sprzęt naprawdę głęboko do gardła. Przyglądam się temu z fascynacją i na chwilę zapominam o Keirze po drugiej stronie słuchawki. Nie jestem facetem, który sypia z kobietami na prawo i lewo, ale to moja częsta reakcja na stres. Poza tym mam wakacje. Tak jakby. Chyba mogę sobie pozwolić na nieco więcej niż zwykle?

— To sytuacja awaryjna — tłumaczy tymczasem Keira. Dość załośnie, należałoby przyznać. — Musiałam zadzwonić, a ciebie nie zabiłoby, gdybyś chociaż raz odebrał i dowiedział się, o co mi chodzi...

— No więc jestem tutaj. Powiedz mi, co się dzieje — przerywam jej stanowczo, bo chcę skończyć tę rozmowę przed finiszem. Nie lubię powstrzymywać się od jęków albo krzyków. — Chyba że ma to coś wspólnego z Josephine, to wtedy nie chcę słuchać.

— To ma bardzo dużo wspólnego z Josephine.

Wznoszę oczy do nieba i wzdycham. Prosiłem przecież.

— Nie chcę słuchać o...

— Sophie Spencer nie żyje.

Zamieram na moment i dosłownie mnie zatyka. Natychmiast tracę ochotę na seks, a Wendy staje się jedynie niedogodnością. Odśuwam ją od siebie, na co przystaje bardzo niechętnie, i odchodzę o krok, obracając się do niej plecami. Przez moment mocuję się z zamkiem, żeby zapiąć spodnie.

Sophie nie żyje. To jedyne zdanie, jakie kołacze mi się po głowie.

— Co się stało? — pytam głosem, który nawet dla mnie brzmi nieswojo.

Keira wzdycha do słuchawki.

— Posłuchaj, bardzo mi przykro, że dowiadujesz się o tym w taki sposób. — Asystentka nie wie zbyt wiele o mojej przeszłości, ale słyszę, że i tak stara się ostrożnie dobierać słowa. Jakby bała się mnie zranić. Chociaż podejrzewam, że raczej jest po prostu zakłopotana i nie wie, co robić, bo nigdy wcześniej nie zdarzało jej się zajmować moimi prywatnymi sprawami. — Policja dzwoniła do mnie już kilkakrotnie, domagając się twojego numeru. Chcą z tobą porozmawiać.

— Ze mną? — pryham, starając się udawać, że wcale mnie to nie obchodzi. Nie chcę, żeby asystentka zaczęła plotkować, że rozkleiłem się na informację o śmierci byłej żony. — Co ja mam z tym wspólnego? Przecież nawet mnie tam nie było. Co się w ogóle stało? Co na to jej mąż?

— Właśnie w tym rzecz — odpowiada powoli Keira i już wiem, że za chwilę usłyszę coś, co bardzo mi się nie spodoba. — Mąż

Sophie też nie żyje. Obydwoje nie żyją, chyba zostali zamordowani czy coś takiego. Policja nie chciała dzielić się ze mną szczegółami, po prostu cię szukają. To poważna sprawa, Owen.

Jezu. Po prostu nie wierzę w to, co słyszę. Opieram się o ścianę w korytarzu i przez moment nic nie mówię, kurczowo trzymając w dłoni telefon Wendy. W jednej chwili docierają do mnie wszystkie konsekwencje związane z tym, czego właśnie się dowiedziałem. Nie chodzi jedynie o to, że nie żyje kobieta, którą kiedyś kochałem, a przynajmniej tak mi się wydawało. Nawet nie tylko o to, że skoro oboje z Garrettem zostali zamordowani, to naturalnym pierwszym krokiem jest zwrócenie się do byłego męża.

Nigdy nie przepadałem za Garrettem. Uważałem go za pierdołę i ciepłą kluchę, ale przynajmniej był dobry dla Sophie, dużo lepszy ode mnie. Teraz oboje nie żyją, a mnie jest żal ich obojga, nawet tego wiecznie żyjącego w cieniu sławnej żony biedaka w sweterku w serek. Jednak moje myśli kierują się przede wszystkim do niej.

Do Josephine, która nie ma już nikogo.

Ani Sophie, ani ja nie mieliśmy dużej rodziny. Kiedy się pobraliśmy, byliśmy praktycznie tylko my i nasza córka. Gdy zabrakło Sophie i Garretta, Josephine została całkiem sama. Martwi mnie, co to dla nas oznacza.

Przez pięć lat ani razu jej nie widziałem. Czasami zdobyłem się na telefon, jeśli Keira przypomniała mi na czas o urodzinach małej; to również moja asystentka pilnowała, żeby zawsze wysłać prezent na święta. Poza tym jednak trzymałem się od Josephine i Sophie z daleka, czego moja była żona nigdy mi nie wybaczyła.

Ale teraz Josephine została sama, a to oznacza, że muszę się nią zająć, chociaż to ostatnia rzecz, na jaką mam ochotę.

— Muszę się napić — mamrocę do telefonu, po czym rozłączam się, nie czekając na odpowiedź.

Spoglądam na Wendy, która nadal stoi w tym samym miejscu, w którym ją zostawiłem, z rozmazaną szminką i wymalowanym na twarzy zniecierpliwieniem. Oddaję jej komórkę i obracam się na pięcie.

— Owen! — krzyczy, a ja już czuję pod czaszką nadchodzącą migrenę. Nie mam ochoty rozmawiać z moją architektką, więc nawet się nie zatrzymuję. Wendy jednak biegnie za mną, a stukot jej szpilek o posadzkę odbija się w mojej głowie głośnym echem. — Jesteś jakiś niezrównoważony?! Chociaż daj mi dokończyć to, co zaczęliśmy!

Zerkam na nią z irytacją i odsuwam się, kiedy próbuje chwycić mnie za ramię.

Boże, jestem takim idiotą.

— Przepraszam cię, nie mam teraz do tego głowy — wyrzucam z siebie, po czym przez główny hol kieruję się do wyjścia. Po drodze pozdrawiam machnięciem ręki kolejnych członków ekipy budowlanej, a obok siebie słyszę stłumione przekleństwo. Pewnie Wendy w końcu zrozumiała, że nie powinna pokazywać się w takim stanie w moim towarzystwie. Rozmazana szminka jest tylko jedną ze wskazówek odnośnie do tego, co przed chwilą robiła. — Zobaczmy się kiedy indziej.

Mówię to na odczepnego i ona z pewnością o tym wie; nie zamierzam więcej spotykać się z Wendy. Ten sposób na odstressowanie się i zapomnienie o zbliżających się urodzinach córki przestał być potrzebny, skoro świat właśnie runął mi na głowę.

— Jesteś dupkiem — oświadcza kobieta, kiedy wychodzimy z budynku. Zatrzymuję się na schodach i spoglądam w jej pałające wściekłością brązowe oczy.

— Wiem — odpowiadam po prostu. — Za to też cię przepraszam.

Odwracam się i kieruję w stronę podjazdu, gdzie zostawiłem wynajęty samochód. Tym razem Wendy na szczęście za mną nie idzie.

Ruszam z piskiem opon i przez jakiś czas jadę krętą, niemalże pustą drogą wzdłuż wybrzeża. Mocno podkręcam klimatyzację, kierując podmuch powietrza na twarz, żeby choć trochę się otrzeźwić, ale w głowie wciąż mam karuzelę myśli, która nie chce się zatrzymać. Może to dlatego jest mi tak niedobrze.

Jakieś dziesięć mil dalej zaczynają się pojawiać pierwsze zabudowania, a ja wypatruję mojego ulubionego, położonego na uboczu

baru. Wiem, że to zły pomysł, i nie mam pojęcia, jak potem wrócę do hotelu, jednak w ogóle się tym nie przejmuję, gdy wchodzę do jednego z niewielu lokali, które nie starają się być nowoczesne ani trendy w pogoni za klientelą. Barman zna mnie już z widzenia, chociaż wątpię, żeby wiedział, kim jestem. Kiwam do niego głową i po chwili dostaję to, co zwykle.

Po dwóch kolejkach znowu zaczynam myśleć w miarę trzeźwo, co doprowadza mnie do bardzo nieprzyjemnych wniosków. Prawdopodobnie zamiast pić, powinienem iść gdzieś, gdzie mógłbym pozbyć się nadmiaru energii, ale nie mam na to ochoty. Wolę wypić wystarczająco dużo alkoholu, by o tym wszystkim zapomnieć i po prostu mieć święty spokój.

Gdy na moment zamykam oczy, widzę ją pod powiekami. Je obie — roześmianą Sophie o błyszczących oczach i słodką, uśmiechającą się do mnie Josephine. Sophie wiedziała, że nie chcę mieć dzieci, a mimo to podjęła decyzję o zajściu w ciążę, nie informując mnie, że przestała brać tabletki. Myślała, że „jakoś to będzie”.

Nie było.

Cieszyłem się, kiedy znalazła sobie nowego męża, który w dodatku stał się świetnym ojcem dla Josephine. Ojcem, jakim ja nigdy nie byłem. Obydwie na to zasługiwały.

Za to na pewno nie zasługiwały na mnie ani na śmierć.

Barman próbuje mnie zagadywać, ale nie jestem w stanie wyjaśnić mu, dlaczego piję. Nie wierzę w terapeutyczną siłę zwierzeń i nie chcę opowiadać obcym ludziom o moich problemach. Dopiero po jakimś czasie orientuję się, że kolejne drinki nie sprawiają, iż niewiedza przestaje mnie uwierać. Wręcz przeciwnie — chcę wiedzieć wszystko. Chcę wiedzieć, co się stało, jak do tego doszło i dlaczego.

Rzadko bywam tak zaangażowany w coś, co nie jest moją pracą, ale w tej sytuacji to chyba naturalne. W końcu chodzi o kobietę, która kiedyś była moją żoną.

Wyciągam telefon z kieszeni spodni i wybieram numer Keiry. Zgłasza się po pierwszym sygnale.

— Skontaktuj mnie z policją — mówię, tylko trochę bełkocząc. Staram się cedzić słowa, żeby wydawać się trzeźwym, nawet jeśli

moja asystentka doskonale zdaje sobie sprawę, że piję. — Chcę się dowiedzieć, co się stało. I zarezerwuj mi lot do Los Angeles. Ale nie na dzisiaj. Jestem jeszcze w trakcie spotkania.

Z butelką whiskey.

Nie byłem w Los Angeles od pięciu lat. Powrót do tego miasta wymaga odpowiedniego przygotowania.

I porządnego znieczulenia.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Kryminalna intryga i płomienny romans w nowej książce autorki *Sentymentalnej bzdury*, *Negatywu szczęścia* i *Po godzinach*.

Życiem siedmioletniej Josie Spencer nieoczekiwanie wstrząsa tragedia — zamordowani zostają matka i ojczym dziewczynki. Pocieszenie daje jej jedynie obecność ukochanej opiekunki. Reese Anderson, dwudziesto-dwuletnia studentka psychologii, bardzo mocno angażuje się w opiekę nad osieroconym dzieckiem. Do tego stopnia, że dla jego dobra jest skłonna zataić przed policją fakty, które mogłyby ściągnąć na Josie uwagę sprawców napadu.

Gdy do Los Angeles przylatuje biologiczny ojciec dziewczynki, Reese pomaga mu w nawiązaniu kontaktu z córką. Nie jest to proste — Owen nigdy nie chciał być obecny w jej życiu, więc Josie nie zna ojca i trochę się go obawia. Sytuacji nie ułatwia fakt, że mężczyzna nie do końca ufa Reese, a ona z jakichś przyczyn trzyma facetów na dystans. A jednak, chociażby ze względu na Josie, tych dwoje będzie musiało odłożyć na bok uprzedzenia i zbliżyć się do siebie. Bo niebezpieczeństwo wciąż czyha...

Różnica wieku nie ma znaczenia, jeśli w grę wchodzi płomienny uczynek!

Patroni medialni:



 **editio red**

 **Księgarnia internetowa:**
<http://editio.pl>

 **Zamówienia telefoniczne:**
0 801 339900
 **0 601 339900**

Sprawdź najnowsze promocje:
🔗 <http://editio.pl/promocje>
Książki najchętniej czytane:
🔗 <http://editio.pl/bestsellery>
Zamów informacje o nowościach:
🔗 <http://editio.pl/nowosci>

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>

ebook dostępny na:

ebookpoint



ISBN 978-83-283-7166-8



9 788328 371668

Cena 39,90 zł